

KRYSTYNA MEISSNER PILNIE PROSZONA O KONTAKT

Wojciech Majcherek

Wiem, że dam dowód nieprofesjonalizmu, ale muszę rozpocząć ten tekst od wyznania: o tegorocznym Kontaktcie nie chce mi się pisać... Chodzę koło komputera jak pies koło jeża i szukam byle pretekstu, żeby odwlec robotę. Ale co to kogo obchodzi? Pojechałeś, osiem dni w Toruniu przesiedziałeś, więc nie stękać, tylko pisać...

Przeczytałem, co inni napisali. To też może zniechęcić. Bo cóż to za przyjemność oblewać kogoś zimną wodą, kiedy nie ma już na nim suchej nitki. Jeszcze nigdy recenzenci nie "schlastali" tak Kontakt. Już same tytuły i podtytuły tekstów mówiły wystarczająco dużo: "Zjechały się trupy. Najślabszy Kontakt 98" (Sieradzki w *Polityce*), "Kłapa w Toruniu. Niski poziom i skandaliczny werdykt jury - tak można najkrócej zrecenzować tegoroczny Kontakt" (Pawłowski w *Gazecie Wyborczej*), "Werdykt kpiarzy. Tegoroczny festiwal robił wrażenie skleconego za tanie pieniądze" (Kowalczyk w *Rzeczypospolitej*). Krytyka, jak się okazało, specjalnie nie dotknęła dyrektorki festiwalu, Jadwigi Oleradzkiej, która na zarzuty w jednym z wywiadów odpowiedziała: "Niech piszą, co chcą". Więc co można napisać po takim dictum?

Oleradzka w tym samym wywiadzie skarży się, że jej poprzedniczce, Krystynie Meissner, krytycy przyznawali prawo do błędów, a jej nie. To prawda, że na siedmiu wcześniejszych Kontaktach zdarzały się spektakle, po których wychodziliśmy wściekli. Inna rzecz, że Krystyna Meissner otwarcie potrafiła bronić swoich wyborów, a w każdym razie nawet nieudane przedstawienia mieściły się w generalnej idei festiwalu. Tymczasem VIII Kontakt, przygotowany już w całości przez nową dyrekcję, nie miał żadnej koncepcji. Sprawiał wrażenie przypadkowego zbioru spektakli, a co gorsza, nie było pośród nich ani jednego na miarę przedstawień, które w poprzednich latach imprezę wygrywały. Jeśli się ma w pamięci, co w Toruniu pokazywali Rosjanie: Fomienko, Fokin, Arcybaszew, to *Wassa Żelaznowa* z Petersburga wyglądała na teatralną drugą ligę, i to z dołu tabeli. *Czajka* wiecznego dekonstrukcjonisty Pogrebnički tak wszystkich zezłościła, że reżyser chyba długo na Kontaktcie nie zagościł. *Starucha 2* nowej gwiazdy z Litwy, Koršunovasa, owszem, ciekawa, ale pozbawiona kompletnie emocji przedstawień Nekrošiusa czy Tuminasa. Nawet *General dia-*

bła w inscenizacji samego Franka Castorfa z berlińskiego Volksbühne am Rosa Luxemburg Platz nie wytrzymał porównania ze spektaklem *Załatw Europejczyka* Christopa Marthalara tej samej sceny - tryumfatora Kontaktu sprzed dwóch lat.

Oleradzka powiada, że gdyby w programie nurt politycznie gorący był silniejszy, festiwal zyskałby lepsze oceny. Bo ja wiem? *Maskarada* Tuminasa, *Hamlet* Nekrošiusa, *Rodzeństwo* Lupy - zwycięzcy z zeszłego roku, z polityką nie mieli nic wspólnego. Kontakt powstawał w atmosferze fermentu społecznego, politycznego, kulturalnego przełomu lat 80-ych i 90-ych i rzeczywiście festiwal chwycił wiatr przemian wiejący zwłaszcza ze wschodu. Dziś być może sytuacja jest bardziej stabilna, gorączka opadła, ale czy to oznacza, że teraz w Toruniu musimy entuzjasmować się występami teatrów w rodzaju bułgarskiego Credo (z zabawną adaptacją *Plaszczka* Gogola, zrealizowaną jednak tak, by mogła się spodobać na każdym festiwalu), niemieckiego Ton und Kirchen (z mało efektownym widowiskiem plenerowym wg *Pyrama i Tyzbe* Owidiusza) czy zwłaszcza Talipot z wyspy Reunion koło Madagaskaru? Zwycięstwo Talipotu ma chyba wymiar symboliczny. Oto czwórka aktorów, robiących wrażenie szczególnie na paniach, pokazała widowisko, które można by określić mianem teatru źródeł (nie tylko dlatego, że jego fabuła opowiadała o poszukiwaniu wody). Był to spektakl odwołujący się do folkloru wysp Oceanu Indyjskiego, ładny dla oka i dla ucha (aktorzy sprawni ruchowo i wokalnie). Niektórzy obserwatorzy dopatrywali się w występie Talipotu powinowactw z poszukiwaniami antropologicznymi Grotowskiego. Inni odnosili się podejrzliwie, węsząc raczej "etniczną komercję". Fakt: Grotowski siedzi w Pontederze i jak komuś pokaże, co robi, to jest niebywałe święto. Talipot tymczasem jeździ ze swoim spektaklem z festiwalu na festiwal. Jury uznając *Nosiciele wody* za najlepsze przedstawienie VIII Kontaktu prawdopodobnie dało do zrozumienia, że nie było dlań konkurencji. Ale kto wie, czy w werdykcie nie ukryła się mimowolnie wskazówka dla organizatorów, którzy mają teraz iść. Do tej pory ceniliśmy w Toruniu spektakle poważne, oddające tzw. ducha czasów, oparte na literaturze, powstałe przeważnie w stałych teatrach dramatycznych, będące popisem sztuki inscenizacji i aktorstwa. Być może, skoro dyrektor Oleradzka nie

potrafi nigdzie znaleźć przedstawień spełniających te kryteria, program festiwalu będzie odąd układać właśnie z ciekawostek w rodzaju Talipot. W ten sposób Kontakt dołączy do festiwalowego cyrku, który objężdża wiele miejsc w Europie, dając przede wszystkim radość turystom. Nie będą już pewnie do Torunia przyjeżdżać ci wierni kibice Kontaktu, dla których festiwal był świetną szkołą teatru, źródłem wiary, że jest to sztuka warta autentycznego zainteresowania. Piszę te zdania w smętnym nastroju, bo klęska tegorocznej edycji Kontaktu wskazuje wyraźnie na zachwianie idei festiwalu. Rodzi się tylko pytanie, czy stało się to z powodu nieudolności organizatorów, czy z przyczyn, by tak rzec, obiektywnych? Zawsze oczywiście można się tłumaczyć, że zabrakło pieniędzy na ten czy inny ciekawy spektakl albo zaistniały problemy techniczne w ich sprowadzeniu.

Ale programu festiwalu nie można układać na Mroźkowej zasadzie: w zastępstwie słońca znaczna ilość królików, a tych na Kontaktach w tym roku rozmnożyło się ponad miarę.

Nie było żadnych powodów, by sprowadzać do Torunia dwójkę hiszpańskich tancerek czy Holendra z monodramem o życiu i twórczości Witkacego. Nowa dyrekcja festiwalu powieliła też stare błędy poprzednich Kontaktów. Jak zwykle, zobaczyliśmy niedobre przedstawienie z Ukrainy. Przez moment zastanawiałem się, czy Ukraińcy celowo *Historię pewnej namiętności* wg Henry Jamesa zrealizowali z patosem charakterystycznym dla melodramatów starożytności, ale śmiech innych widzów upewnił mnie, że mamy do czynienia z totalną pomyłką.

Dla odmiany Estończycy, tak jak w roku ubiegłym, pokazali grafomańską sztukę współcześnie napisaną, ale opowiadającą narodową historię z początku wieku. Przykrość była tym większa, że spektakl wystawił Priit Pedajas, reżyser, którego przedstawienie *Zakład ceramiczny pani Pillarpart* wygrało Kontakt w 1992 roku i ci, co je widzieli, pamiętają do dziś. Trzecią nagrodę dla *Nocnego pokazu kpiarzy* w kuluarach wiązano z faktem, że w jury zasiadał minister kultury z Estonii.

Nie wiem, czym też wytłumaczyć obecność francuskiego zespołu L'Oeil du Tigre. Przywiózł spektakl według tekstu białoruskiej dziennikarki Świętany Aleksiewicz. Bohaterowie *Utopii* to trójka Rosjan, których życiorysy układają się w panoramę historii ZSRR. Najstarszy mężczyzna jest równieśnikiem partii, wierzącym ślepo w idee komunizmu. Na łosach kobiety zaciążyło oderwanie od matki i pobyt w domu dziecka. Najmłodszy mężczyzna to weteran wojny w Afganistanie. Aktorzy przez półtorej godziny na zmianę opowiadali dzieje swoich boha-

terów, ale w pewnym momencie jeden z nich zapomniał tekstu. Wszystko się posypało, tłumacze nie mogli się zorientować, w którym są miejscu. Pomyślałem, że stało się coś symbolicznego: musiał wpadką zakończyć się występ Francuzów, którzy w Polsce, także obserwatorom ze wschodu, serwują sowiecką martyrologię.

Publiczność za to świetnie bawiła się na przedstawieniu czeskiego teatru Buchty a Loutky, który w konwencji dziecięcego teatryku lalkowego odstawił zjadliwą parodię *Historii o prawdziwym człowieku*. Powieść Borysa Polewoja wszyscy mieliśmy w szkolnej lekturze. Pamiętam, że w wypracowaniu wyśmiewałem się z jej propagandowych treści, co oburzyło panią od polskiego. Ale było to już blisko dwadzieścia lat temu. Czeši, którzy dzisiaj bio-



Aleja kosmonautów Sashy Waltz & Guests

rażą odwet na Polewoju, sami wydali mi się zabawni. Widać wciąż doskwiera im pamięć, że to w ich kraju na każdej ulicy wisiały chorągiewki z wypisanymi hasłami o wiecznej przyjaźni z ZSRR.

O słabości toruńskiego festiwalu świadczy brak dialogu między spektaklami, co obciąża niestety układających program. Czeši z Francuzami weszli w kontakt ze sobą, ale raczej na zasadzie ciosów. Rozrachunek z przeszłością w ich wydaniu brzmiał albo fałszywie, albo niepoważnie.

W Toruniu w tym roku tylko raz czy dwa naprawdę zaiskrzyło. Stało się tak pierwszego dnia festiwalu, gdy wystąpił zespół niemieckiej choreografki Sashy Waltz ze spektaklem *Aleja kosmonautów* i Teatr Współczesny ze Szczecina, który pokazał dobrze już znany spektakl Anny Augustynowicz *Moja wątrobka jest bez sensu...* Schwaba. Oba przedstawienia, choć zupełnie różne w formie, dotyczyły tego samego problemu: beznadziejności naszego po-



Beczka prochu Dukovskiego w Jugosłowiańskim T. Dramatycznym w Belgradzie. Scena zbiorowa. Reż. Slobodan Unkovski

wszedniego życia, na które składa się coraz więcej agresji. Sasha Waltz pokazała to zjawisko na przykładzie rodziny ze wschodniobrzeńskiego bloku, Schwab obrzydliwości ujawnił w portrecie mieszkańców wiedeńskiej kamienicy. Sasha Waltz zastosowała oryginalną ekspresję teatru ruchu, łącząc w efektowny sposób pantomimę, akrobację, taniec. U Schwaba wszystko rozgrywało się w języku, swoistym wołapiku, w który dobrze wczuli się szczeniści aktorzy, co jednak chyba nie trafiło do zagranicznych gości festiwalu.

W najlepszej tradycji Kontaktu mieścił się spektakl Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego *Beczka prochu*. I tu *chapeau bas* przed dyrektorką Oleradzką, że Jugosłowian udało jej się sprowadzić i po raz pierwszy w Toruniu pokazać przedstawienie z tamtych stron. Sztuka Dejana Dukovskiego, drukowana w *Dialogu*, opowiada w serii krótkich scen również o niebywałej agresji, która rodzi się między ludźmi nagle i często bez żadnego powodu. Przy tym Dukovski układa historyjki tak, że morderca występujący w jednej scenie, w następnej staje się ofiarą. Jeśli się tak nienawidzimy - zdawali się mówić swoim spektaklem Jugosłowianie - trudno się dziwić, że wybuchła między nami wojna. W spektaklu wyreżyserowanym przez Slobodana Unkovskiego było coś przejmującego - ostra i głęboka diagnoza społecznej świadomości. Teatr nie epatował przemocą, było jej wystarczająco dużo, by unaocznic problem, a jednocześnie aktorzy potrafili galerii swoich postaci malować także groteskową czy satyryczną kreską, oddając jednak bez zniekształceń prawdę psychologiczną ludzi czujących strach. Jugosłowianie zdobyli, moim zdaniem, przewagę nad Niemcami z Volksbühne, którzy w *Generale diabla* także kolejny raz dokonywali rozrachunku z własną faszystowską przeszłością, ale uczynili to w sposób nazbyt wyrafinowany. Spektakl Franka Castorfa mógł ciekawić, ale nie pasjonował. Unkovski zbudował swoje przedstawienie wyraźnie inspirując się filmowymi obrazami, które wprost działały na emocje. Mało w tym roku było spektakli,

które niosły równie silny ładunek autentycznego wzruszenia (udało się na pewno wywołać żywe reakcje Piotrowi Cieplakowi w inscenizacji *Testamentu psa* Suassuny, która w Toruniu wypadła świetnie).

Pominięcie w werdykcie jury przedstawienia z Belgradu dobiło tegoroczny Kontakt. Jerzy Koenig, przewodniczący jury, ujawnił, że przepadło ono jednym głosem. Widzowie i dziennikarze przyznając swoje nagrody Jugosłowianom uratowali honor festiwalu. Dali też jasną odpowiedź, co w teatrze naprawdę ich interesuje i czego nadal oczekują po spektaklach prezentowanych na Kontaktach. Warto więc bronić najlepszych tradycji imprezy. Główne idee festiwalu, wyznaczone przez jego twórczynię, przecież nie straciły atrakcyjności.

Po zdymisjonowaniu Krystyny Meissner z dykcji w Starym Teatrze pojawiła się informacja, że minister kultury, Joanna Wnuk-Nazarowa, kierując się m.in. krytyką tegorocznej edycji Kontaktu, zaproponowała pomysłodawczyni festiwalu ponowne jego kierownictwo. Wiązałoby się to pewnie z oddzieleniem organizacji festiwalu od Teatru im. Horzycy, którego dyrekcję sprawuje nadal Jadwiga Oleradzka i Andrzej Bubiń. Sprawa jest delikatna, wpływa w niezbyt dobrych okolicznościach (jakby Meissner chciano otrzeć łyzy, a Oleradzką ukarać), ale być może warto ją poważnie i spokojnie rozważyć. Nie jest przecież powiedziane, że ten festiwal musi być na zawsze związany z Teatrem im. Horzycy (każdego nowego dyrektora teatru czekałyby dodatkowe obowiązki. Czy jest gwarancja, że następcy Oleradzkiej i Bubińia im podołają?). Na ogół międzynarodowe festiwale funkcjonują niezależnie. Za dotychczasowym układem przemawiają zapewne względy finansowe i praktyczne. Ale może warto za cenę oszczędności w budżecie festiwalu ustanowić jego biuro działające poza teatrem. Formalnym właścicielem praw do Kontaktu jest, zdaje się, wojewoda toruński. Co prawda nie wiadomo, czy w przyszłym roku taka funkcja będzie istnieć, ale znajdzie się nowy administrator, który powinien zadbać o odpowiednie ułożenie stosunków między teatrem a festiwalem. Trudna oczywiście może wydać się sytuacja dwóch pań, które w nowych warunkach musiałyby podjąć ze sobą współpracę. Ale czy dla dobra toruńskiej imprezy nie należałoby zawrzeć kompromisu? "Polska to taki piękny kraj, w którym bardzo trudno jest coś zbudować i bardzo łatwo wszystko zepsuć" - napisał Piotr Gruszczyński w podsumowaniu tegorocznych Kontaktów. Festiwal nie jest jeszcze całkowicie zepsuty. Ale roztropność nakazuje, żeby odpowiedzialność za jego przyszłe losy powierzyć osobie, której doświadczenie okazuje się bezcennym atutem.